



Autobiografia Literatura Kultura Media
nr 1 (20) 2023 | s. 223–252
ISSN (print) 2353-8694
ISSN (online) 2719-4361
DOI: 10.18276/au.2023.1.20-15



ROZMOWA

STANISŁAW BEREŚ

Zapis rozmowy z prof. Michałem Głowińskim na temat *Kręgów obcości*¹

„Kręgi obcości” to intrygujący tytuł, ponieważ kojarzy się dantejsko, a także sygnalizuje wyobcowanie. Ile kręgów wyróżniasz?

W mojej książce? Tak w ogóle jest ich bardzo wiele, ale ja się skupiłem na trzech.

Czy możemy je wyodrębnić?

Możemy. Wymieniam je w kolejności znaczącej: żydowskie pochodzenie, orientacja seksualna i klaustrofobia, czyli lęk przed zamknięciem. Wyjaśniam na wypadek, gdyby ktoś nie znał tego greckiego słowa.

A dlaczego nie wymieniasz obcości politycznej? W tej książce widać, że system specjalnie cię nie lubił, a ty rewanżowałeś mu się tym, że uważnie patrzyłeś mu na ręce.

No tak, ale to nie była obcość, bo tak postępowały miliony ludzi. Zwłaszcza w środowisku, w którym się od pół wieku, właściwie do dzisiaj, obracam. Gdybym w nim chciał być ortodoksem komunistycznym, na pewno pojawiłoby się poczucie obcości (...).

O tym, jak IBL funkcjonował i na ile był wyspą w komunistycznej rzeczywistości, porozmawiamy za chwilę, a teraz bardziej interesuje mnie, czy poczucie obcości, o którym piszesz

¹ Rozmowa opracowana na podstawie zapisu nagrania z marca 2010 r. dla *Telewizyjnych Wiadomości Literackich* nr 168 (TVP 2). Emisja odcinka odbyła się miesiąc później. Pełna wersja wywiadu dostępna: <https://www.youtube.com/watch?v=B9b4YJzPTng>.

w swojej książce, to wynik odczuwalnej wrogości otoczenia czy raczej cecha indywidualnej wrażliwości, a zatem coś takiego, co człowiek nosi w sobie od urodzenia.

Tego nie wiem. Może to jest faktycznie cecha osobista, ale jest pewne, że konkretne przypadki albo ją łagodzą, albo potęgują. Mnie się wydaje, że w moim przypadku ją nakręcały. Ale pewnych rzeczy nie wiem, na przykład czy lęk przed zamknięciem wynika z tego, że w czasie okupacji hitlerowskiej – jako dziecko po tzw. aryjskiej stronie – musiałem się ukrywać, czy to jest wrodzone. Tego nikt nie wie, bo może być i tak, i tak, więc ja bym takim elementem, że tak powiem genetycznym lub wrodzonym, nie przypisywał zbyt wielkiej roli, dlatego że wielką rolę w ich kształtowaniu się odgrywają konkretne sytuacje, prawda?

Zwróciłem uwagę na to, że kiedy piszesz o Francji, zarówno o swoim pierwszym pobycie w Paryżu, jak i późniejszych wyjazdach, podkreślasz, że czułeś się tam dobrze. Tam, czyli wśród obcych...

No tak, bo ja tych obcych prawie w ogóle nie znałem. Mam za sobą dwa dłuższe pobyty za granicą: osiem miesięcy w Paryżu w 1963 roku i dziesięć lat później rok spędzony w Amsterdamie, gdzie pracowałem na uniwersytecie. Tam moja sytuacja była całkiem inna niż we Francji, gdzie nie poznałem żadnego Francuza. Natomiast w Holandii poznałem licznych Holendrów, mimo że nie znam słowa po holendersku, a angielski znam słabo. Ponieważ wykładałem na uniwersytecie, siłą rzeczy poznałem sporą liczbę slawistów, z którymi na ogół porozumiewałem się po francusku. Moje kontakty w jakiejś mierze nie zależały więc ode mnie, ale od sytuacji, w której się znalazłem.

Czyli zanik lub osłabienie uczucia obcości wynikały z poczucia bezpieczeństwa? Świat, w którym przebywałeś, był nieagresywny, bo nikt cię nie znał, byłeś anonimowy?

Wszędzie się czułem anonimowy, bo nikt mnie nie znał, a ja byłem młodym człowiekiem.

W środowisku polonistycznym w kraju dość szybko stałeś się bardzo znany. Moje pokolenie czytało „Zarys teorii literatury”, zwany na ogół „trojaczkami”, jako biblię starych profesorów, nie wiedząc kompletnie, że napisali ją dość młodzi ludzie. Janusz Sławiński i ty mieliście wtedy po dwadzieścia osiem lat, Aleksandra Okopień-Sławińska była od was o dwa lata starsza.

(ze śmiechem) No tak, byliśmy wtedy rzeczywiście młodzi. Ta książka powstała z inicjatywy naszego nauczyciela profesora Kazimierza Budzyka. Pamiętam tego typu zdziwienia. W początkach lat sześćdziesiątych, gdy byłem na jakimś zjeździe czy konferencji (miałem wtedy dwadzieścia parę lat, może dobiegałem trzydziestki), jakiś student powiedział mi ze zdumieniem: „Ojej, a ja sobie wyobrażałem, że pan jest w wieku Pigonia!”. A ponieważ

profesor Pigoń urodził się w 1886 roku, to znaczy, że młody człowiek szacował mnie na siedemdziesiąt parę lat.

Teresa Torańska, rozmawiając z tobą w wywiadzie dla „Dużego Formatu”, mówiła o tym, jak trudno jest Polakowi wypowiedzieć słowo „Żyd”. Ono naszym rodakom wyraźnie w ustach nie leży. Gdy powiem na przykład „To jest Nigeryjczyk” albo „To jest Senegalczyk”, to brzmi neutralnie, natomiast kiedy powiem „To jest Żyd”, od razu brzmi to stygmatyzująco. Jako badacz języka PRL-u pewnie słyszysz to lepiej niż inni. Dlaczego tak jest?

No to jest faktycznie bardzo dziwne. Mnie się wydaje, że to jest jeden z remanentów z lat okupacji. Kiedy o człowieku, który się ukrywał po tak zwanej aryjskiej stronie (ta nazwa została zachowana z języka hitlerowskiego, i słusznie, bo nigdy ani wcześniej, ani potem niczego takiego nie było), powiedziało się, że nazywa się, powiedzmy, Jan Kowalski, a w istocie inaczej, bo jest Żydem, to była forma denuncjacji i mogła się równać skazaniu go na śmierć. Przyzwoity człowiek zdawał sobie z tego sprawę i o nikim nie mówił, że jest Żydem. W ten sposób zostało to utrwalone w języku.

Ale dlaczego to nie znika, skoro ludzie, którzy wówczas mieli dwadzieścia lat, dziś mają dziewięćdziesiąt (o ile w ogóle żyją)? Dlaczego ta niepewność i obawa w języku zostały? Przecież minęło już całe pokolenie...

To się ze sobą łączy, i to jest, myślę, główna przyczyna. Ale wynika też z zachowania społeczności żydowskiej, która po wojnie była nadal strauumatyzowana. Na pewno po Zagładzie nie mogła być inna, słowa „Żyd” po prostu się bano. Poza tym oddziałuje tu także tradycja polskiego czy religijnego antysemityzmu, który osadził się głęboko w naszej świadomości i często tkwi w świadomości ludzi jak najlepszej woli.

Na to wszystko wpływa też historia języka. Metaforyczne użycia słowa „Żyd”, na ogół negatywne, przechowały się z czasów, kiedy jeszcze pisało się atramentem i kleks był nazywany żydem. Takich znaczeń w polszczyźnie jest dużo, prawda? W liturgii wielkopiątkowej mówiło się o „wiarołomnych Żydach”, co zostało zniesione dopiero za pontyfikatu Jana Pawła II. Przyczyn było więc dużo. Poza tym tu działa pewien mechanizm językowy, który sprawia, że słowem piętnującym i negatywnym może stać się każde, którego znaczenie podstawowe ma konotacje pozytywne bądź neutralne. Nazwy narodowości na ogół są neutralne, choć nie zawsze, skoro obrzydliwy robak nazywa się prusakiem bądź francuzem. Nazwy narodowości z zasady są w naszym języku neutralne, ale jak widać, mogą być tak używane, że ich neutralność znika. A zatem praktycznie każde słowo może być piętnujące, bo wszystko zależy od intencji mówiącego oraz tradycji używania. A skoro tak, to nie można stworzyć kompletnego

Słownika wyrażen obraźliwych. On naturalnie jest do pomyślenia, ale nigdy nie będzie pełen, bo zawsze istnieje możliwość dodania słowa o negatywnym charakterze.

Ty zdecydowałaś się na ujawnienie swojej tożsamości żydowskiej w „Czarnych sezonach”, które ukazały się w 1998 roku.

Ale pierwsze opowiadania z tego tomu zaczęły się ukazywać w czasopiśmie kilka lat wcześniej.

To nie zmienia faktu, że to się stało dość późno, bo grubo po sześćdziesiątce, prawda? Czyli przez kilka długich dekad żyłeś z poczuciem, że takie wyznanie może ci zaszkodzić. Czy to był rodzaj strachu czy wyrozumowana kalkulacja? Miałem zaszczyt przyjaźnić się z pewnym wybitnym mecenasem wrocławskim, ofiarą tortur ubeckich, który był Żydem z udokumentowaną genealogią sięgającą XIII wieku. Bardzo go podziwiałem, bo miał umysł encyklopedyczny, a ponieważ był prawie niewidomy, spisywałem i opracowywałem jego rękopiśmienne pamiętniki. Kiedy przyszedł czas oddania ich do druku, nagle oświadczył, że owszem publikujemy, ale bez pierwszego rozdziału. A w nim była opisana cała historia jego rodziny – od średniowiecza do naszych czasów. Więc ja mu mówię: „Panie mecenasie, to po co ja to wszystko robiłem? Przecież bez tego rozdziału ta książka nie ma sensu”. A on na to: „Stasiu, czy ty chcesz mnie zabić? Chcesz, żeby wszyscy przyjaciele ze mną zerwali?”. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że jest Żydem, ale on tak się uparł, że wspomnienia wydrukowano w wersji okaleczonej. Do dziś mi tego żal. Mam więc pytanie: czy towarzyszyły ci w życiu obawy, że przyjaciele i znajomi się od ciebie odsuną?

Nie znam środowiska prawniczego, w którym obracał się ów autor dziennika. Oczywiście powodował nim lęk przeniesiony z lat okupacji. Ja też przez lata nie potrafiłem o tym mówić, mimo że w moim otoczeniu właściwie wszyscy wiedzieli o moim pochodzeniu, co wynikało z różnych rzeczy. Natomiast ja sam o tym nie mówiłem, choć nigdy nie grałem kogoś innego, niż jestem. Moje nazwisko jest autentyczne i nie zostało zmienione, co wielokrotnie podkreślałem. Jest polskie, ale w jaki sposób się pojawiło w mojej rodzinie, nie wiem. W charakterze anegdoty mogę powiedzieć, że wielokrotnie się spotykałem z następującym pytaniem: „No dobrze, teraz nazywa się pan Głowiński, ale jakie jest pana nazwisko z domu?” (*śmiechy*)

Kiedy na przykład składałem w Żydowskim Instytucie Historycznym wnioski o przyznanie medalu Yad Vashem jednej z zakonnic, które się mną opiekowały w czasie okupacji, archiwista, który się tymi sprawami zajmował, koniecznie chciał, żebym podał mu swoje „prawdziwe nazwisko”. Upierał się tak, że dopiero moja koleżanka wyjaśniła mu, że moje nazwisko jest autentyczne. Ważnym czynnikiem tabuizacji był więc oczywiście strach, ale też brak języka,

którym można byłoby o tym mówić, bo jednak żydowskie pochodzenie było powodem pewnego napiętnowania. I to było trudne.

Na marginesie zdarzenia w ŻIH-u dodam, o czym zresztą piszę w tej książce, że zakonnica z sierocińca w Turkowicach, gdzie przeżyłem wojnę, ten medal otrzymała. W sumie cztery siostry zakonne z mojego sierocińca (trzy pośmiertnie, jedna za życia) zostały wyróżnione tym odznaczeniem.

No a powiedzmy, że studiowałeś na uniwersytecie w latach sześćdziesiątych. Czy miałbyś wtedy odwagę powiedzieć w jakiejś dyskusji: „My, Żydzi, uważamy, że ta sprawa wygląda tak i tak”.

Nigdy w życiu. No właśnie, oczywiście tu nie chodziło o środowisko. Muszę powiedzieć, że od pięćdziesięciu lat, a może i dłużej, nie spotkałem się z żadnym ekscesem antysemitycznym przeciwko sobie.

Może w naszym środowisku antysemita są ostrożniejsi i ukrywają swoje prawdziwe uczucia?

(*krzywi się*) Nie, nie sądzę. Myślę, że w środowiskach inteligentnych, poza jakąś skrajną prawią, takich postaw nie ma, bo zostałyby źle przyjęte. Czasem jednak figiel wywija sam język. Kiedy zacząłem ogłaszać swoje opowiadania, jedna z moich dawnych koleżanek zapytała drugą: „Czy to prawda, że Głowiński się przyznał, że był w getcie”. To jest bardzo charakterystyczne sformułowanie, człowiek „przyznaje się” do czegoś, co jest naganne. W odniesieniu do bycia w getcie staje się określeniem drastycznym. Jak więc można było tak powiedzieć? Od biedy „opowiedział” lub „wyznał”, ale „przyznał się”? Na obronę tej pani trzeba jednak powiedzieć, że u niej zaznaczały się już wtedy początki choroby psychicznej. Poza tym ona sama tego sformułowania nie wymyśliła, jest mocno zakorzenione w języku.

Ale zobacz, Michale, ty w tym momencie od razu traktujesz sprawę jako systemową, a nie jako pozbawiony znaczenia incydent językowy, czyli że kobiecie się po prostu bezmyślnie lapnęło. To nie jest według ciebie przypadkowe połączenie, ale struktura znacząca. Ty od razu patrzysz na to przez lupę, prawda?

Nie ja patrzę przez lupę, ale moja koleżanka, której zostało zadane to pytanie. Opowiedziała mi o nim, bo uznała je za niestosowne. Więc to nie jest tylko kwestia wyłącznie mojego wyczulenia.

W środowisku inteligentnym uważa się, że antysemityzm to cecha ludzi niewykształconych. Ty też tak uważasz?

No, nie powiedziałbym. Wśród inteligencji on się też zdarza. Jeśli się czytało w „Naszym Dzienniku” pojawiały się nasycone antysemityzmem wywody profesorów teologii z Lublina, wykształconych osób duchownych. Nie wiem, jakiej dyscypliny profesorem jest komiwojażer antysemityzmu we współczesnej Polsce Jerzy Robert Nowak, ale nie można o nim powiedzieć, że jest niewykształcony, prawda? Więc to różnie bywa.

Wychowałeś się w domu zasymilowanym, nie znałeś hebrajskiego ani jidysz, mówiłeś po polsku, czytałeś po polsku i chodziłeś do polskiej szkoły. A tu nagle wybucha wojna, Niemcy zakładają getto, a ty jako dziecko musisz ukrywać się w sierocińcu po stronie aryjskiej, u zakonnic, gdzie jesteś katechizowany i modlicie się po polsku. Próbuję sobie wyobrazić, co się działo w twojej głowie, ale nie bardzo mogę.

Bo jesteś dużo młodszy ode mnie i nie znasz lat okupacji. Moja rodzina przed wojną zapewne by się określiła mianem polskich Żydów, to znaczy takich, którzy są świadomymi swoich korzeni, którzy mieszkają w Polsce i uważają się za obywateli polskich, więc żyją ich sprawami. Takich osób było sporo przed wojną. To głównie przeciwko nim kierowały się akcje antysemityczne w ostatnich latach niepodległości, ponieważ Żyd chałatowy żył w swoim własnym świecie i był może groźny jako konkurent na targu w Pcimiu Dolnym, natomiast nie był zagrożeniem dla polskości z punktu widzenia tak zwanej narodowej prawicy. Zauważ, proszę, że najbardziej atakowanym polskim poetą w okresie międzywojennym był Julian Tuwim. Czyli człowiek, którego pochodzenie wszyscy znali. No ale on jednak nie uważał się za poetę żydowskiego, tylko za poetę polskiego. Tymczasem był atakowany między innymi jako ten, który psuje polski język. I może przykład jeszcze bardziej wyrazisty. W roku 1939 w skrajnie prawicowym polskim piśmie „Prosto z Mostu” pod tytułem *Dziejba Lesmanów* ukazała się recenzja pióra szalenie ideologicznego prawicowego krytyka, który się nazywał Tadeusz Dworak. O co mu chodziło? No jak wiadomo, nazwisko rodowe Leśmiana brzmiało Lesman. O ile jednak Tuwim z kulturą żydowską miał sporo wspólnego, Leśmian, który pochodził z rodziny już przechrzczonej, nie miał prawie nic. Jednakże jeśli się stosuje kryteria rasowe, to w tej kwestii, tak jak w Niemczech hitlerowskich, nie miało żadnego znaczenia, czy ktoś się dał pokropić wodą święconą i przyjął chrzest.

Przed wojną w Warszawie działał ksiądz Tadeusz Puder, który był Żydem, ale został księdzem. Wydawałoby się, że on już nie powinien raczej podlegać akcjom antysemitycznym, tymczasem pobito go w kościele jako obcego, który się wdiera do cudzej religii. Więc to są bardzo skomplikowane sprawy.

Miałeś nieszczęście siedzieć twarzą w twarz ze szmalcownikiem. To postać bardzo tajemnicza w polskiej kulturze i wciąż nie za bardzo opisana.

No już raczej opisana, bo wyszła dobra książka Jana Grabowskiego o warszawskich szmalcownikach².

Moim zdaniem to jest sprawa wciąż za mało spenetrowana, bo mało wiemy o skali tego procederu, jak i jego wykonawcach. Wciąż słyszymy, że to były przypadki odosobnione, tymczasem już w czasie okupacji w sztabie AK oceniano, że w samym tylko rejonie Warszawy działa kilka tysięcy szmalcowników. To był więc gigantyczny zabójczy interes, bo ci ludzie się z tego utrzymywali. Kim byli? Pochodzili z marginesu społecznego?

Jak pisze Grabowski, to nie były tylko męty, czyli osoby wywodzące się z marginesu społecznego. Jednym ze szmalcowników był nawet młody człowiek pochodzący z rodziny hrabiowskiej. To dowodzi, że szmalcownictwem parali się również ludzie wykształceni.

Nieraz się zastanawiałem nad profilem umysłowym tych ludzi. W sensie moralnym byli oczywiście hienami, ale mentalnym? W jednym z fragmentów twojej książki piszesz o bojówkarzach, których w marcu 1968 roku partia przywoziła autobusami, żeby poskromić studentów. Użyłeś wtedy określenia „szmalcownikowate typy(asy)”. A zatem jakoś definiujesz ten typ ludzi. Kim oni są według ciebie w sensie konstrukcji psychicznej?

Miałem to szczęście, że widziałem tylko jednego. Wiesz, to było dość metaforyczne sformułowanie na oznaczenie osób, które działają w sposób niegodny.

Ale kim oni byli? Beneficjentami łatwych okazji, „zawodowymi” łowcami czy patologicznymi antysemitami?

Ja myślę, że to byli wyłącznie ludzie interesu. Mogli być wśród nich, jak ich nazywam, antysemita ideowi, którzy byli nieprzekupni, ale to już nie byli szmalcownicy, ale ludzie z organizacji podziemnych, które uważały, że ratowanie Żydów jest przestępstwem. Jak wiadomo, były takie. One uważały to za przejaw zdrady narodu polskiego.

Kiedyś rozmawiałem na ten temat z Ireną Sendlerową, którą znałem od dzieciństwa. Jest to osoba, której zasługi w ratowaniu Żydów są nieprawdopodobnie wielkie, a przecież został na nią wydany wyrok śmierci przez jakąś skrajnie nacjonalistyczną organizację. Ale tych ludzi, jak myślę, nie można nazywać szmalcownikami, bo oni Żydów wydawali i zabijali, ale w ramach działalności, jeśli tak można powiedzieć, „ideowej”.

Pozwól, że wrócę do sceny, którą już wcześniej przywołałem. Opisałeś ją w opowiadaniu „Czarna godzina”: w mansardzie przy ulicy Srebrnej, gdzie się ukrywaliście po wyjściu

² Jan Grabowski, *Ja tego Żyda znam! Szantażowanie Żydów w Warszawie 1939–1943* (Warszawa: Instytut Filozofii i Socjologii PAN, 2004).

z getta we trójkę, z matką i ciotką, pojawia się szmalcownik i żąda pieniędzy, więc ciotka wychodzi, by je skądś zdobyć, a ty, czekając na jej powrót, grasz z nim w szachy. A jesteś wtedy kilkuletnim dzieckiem. Przeróżająca i symboliczna scena. Czytając ją, chce się gryźć paznokcie... Kojarzy mi się z grą rycerza w szachy ze śmiercią w „Siódmej pieczęci” Ingmara Bergmana.

Tak, to zostaje w pamięci na całe życie...

Zastanawiam się, jaka jest świadomość dziecka w takim momencie. Wszystko wiedziałeś? Rozumiałeś, że to jest gra, w której stawką jest wasze życie?

To był początek lutego, może koniec stycznia 1943 roku, czyli miałem skończonych osiem lat. W takiej sytuacji, w jakiej się znajdowałem, dziecko dojrzewa bardzo szybko i kiedy nadchodzi zagrożenie, wie, jak się ma zachowywać. Więc ja byłem doskonale świadom wszystkiego.

Kiedy przedstawiałeś figury, to ci się ręce trzęsły?

No, tego nie pamiętam.

Ale byłeś w stanie ustawić je na właściwych polach?

Tak, naturalnie.

A on dobrze grał w szachy?

Tego też nie pamiętam. Zachowałem w pamięci głównie samą sytuację na tym poddaszu. Byliśmy tam we troje, to znaczy moja matka, jej młodsza siostra i ja. No i pamiętam samą straszność, gdy przyszedł ten człowiek. Wiedziałem oczywiście, że toczy się gra o nasze życie. No i że musimy czym prędzej z tego schowka uciec, co stało się następnego dnia rano, gdy tylko się skończyła godzina policyjna.

Ktoś mi niedawno wytknął brak tej historii w *Kręgach obcości*, ale ja po prostu chciałem uniknąć powtarzania.

Ale to z kolei powoduje, że on – czytając – gryzie paznokcie, a tu autor pisze: ale to już opisałem w mojej poprzedniej książce, więc idź, drogi czytelniku, do biblioteki i sobie znajdź. To jest złamanie kontraktu.

Ja wiem, ale to jest autobiografia, czyli książka zdecydowanie subiektywna, z podmiotem opowiadającym na pierwszym miejscu, a nie pamiętnik, w którym w sposób zobiektywizowany opowiada się to, co wydaje się ważne lub godne opowiedzenia. *Kręgi obcości* to książka subiektywna, egotyczna, choć mam nadzieję, że nie egocentryczna.

Parę minut temu padło w naszej rozmowie nazwisko Sendlerowej. Jesteś uważany za jedno z „jej dzieci”, bo zostałeś przez nią ocalony. Jak to się odbyło? Myślę, że nigdy dość rozmowy o bohaterach i ludziach wielkiego serca.

Akurat w moim przypadku wyglądało to nietypowo, dlatego że uciekliśmy z getta, że tak powiem, własnym sumptem, natomiast ona uratowała mi życie w tym sensie, że mnie umieściła u zakonnic. To była jedna z form jej działalności w stosunku do tych dzieci, które znalazły się po aryjskiej stronie.

Czy był na przykład taki moment, w którym ona prowadziła cię za rękę albo...?

Nie, ja jej wtedy w ogóle nie widziałem, bo działała na wysokim szczeblu organizacyjnym. Miała dwadzieścia współpracowniczek, nie mogła zajmować się poszczególnymi dziećmi. Chociaż oczywiście od czasu do czasu też to robiła, ale przede wszystkim wykorzystywała swój geniusz organizacyjny. To było coś niebywałego, że przy tym zaangażowaniu emocjonalnym i ideowym była to osoba niezwykle pragmatyczna. O czym naturalnie wiedziała, bo ja z nią rozmawiałam na ten temat.

Czy to ona zadecydowała: tego a tego dnia mały Michałek zostanie przewieziony stąd dotąd?

Nie, myślę, że tego nie wiedziała, choć ja nie byłem dla niej anonimowy, znała moją rodzinę. Poza tym pod pewnymi względami byłem dzieckiem łatwiejszym do uratowania, bo mówiłem wyłącznie po polsku. A ona miała na ogół do czynienia z dziećmi, które prawie albo w ogóle nie znały polskiego i pochodziły z rodzin, w których mówiło się wyłącznie w jidysz.

A czy czułeś zagrożenie, kiedy już znalazłeś się u zakonnic? Czy żydowskie dzieci miały świadomość, że w każdej chwili mogą przyjechać Niemcy i kazać im odmawiać paciorek? Nawiązuję tu do sceny z opowiadania „W niedzielne przedpołudnie”, gdy koledzy z sierocińca zapowiadają ci, że wydadzą cię w ich ręce...⁵

Oczywiście, choć wtedy kiedy ja się pojawiłem w Turkowicach, na początku 1944 roku, Niemcy już tam prawie nie bywali. Natomiast rzeczywistym zagrożeniem byli tam Ukraińcy.

Ukraińcy? A czemu?

Bo to było blisko Wołynia i w lasach działały dwie walczące ze sobą partyzantki. A więc oczywiście UPA. Ale tematów ukraińskich wole nie poruszać, dlatego że to mogłoby podsycać nienawiść.

⁵ Tego rodzaju wypadków dotyczył świetny referat prof. Piotra Millatiego pt. *Dziecięcy antysemityzm*, wygłoszony w czasie konferencji *Michała Głowińskiego światy równoległe* (ŻIH 2–3.11.2022 r.), opublikowany w niniejszym tomie na s. 107–123.

Ale strategia niemówienia i usypiania też do niczego nie prowadzi.

Wiem. Znany ci na pewno wrocławski pisarz Stanisław Srokowski wydał książkę pod tytułem *Nienawiść*, która jest tak strasznie jednostronna i zapiekła w swojej nienawiści, że moim zdaniem nie służy dobrym celom.

Cała masa ludzi nie wie, że tam zginęło kilkadziesiąt albo kilkaset tysięcy niewinnych Polaków, a ta książka to przypomina oraz uświadamia, że zginęli w sposób straszny. To zostało z naszej historiografii wyparte, stabuizowane.

Istotnie. O tym należy mówić, ale w trybie historycznym, nie emocjonalnym. Kiedy byłem w Turkowicach, Niemcy już się prawie nie pojawiali, natomiast rzeczywistym zagrożeniem byli Ukraińcy. To oni, a nie Niemcy, zabili młodą zakonnicę i siódmkę nastolatków.

Wiem, że Irenę Sendlerową odwiedzałeś aż do końca jej dni i miałeś nią kontakt. Czy z zakonnkami też tak było? Bo było kilka aniołów, które cię wyprowadziły z pierścienia śmierci.

Nie. Znajdowały się daleko, więc straciłem z nimi kontakt, a później wyrzucono je z Turkowic. W każdym razie tę książkę posłałem do ich klasztornej biblioteki. Niestety są w niej rzeczy, które siostronom zakonnym niewątpliwie nie będą się podobać, ale tam jest również o nich, i to bardzo dobrze.

Wracając zaś do twojego pytania o panią Irenę: miałem z nią kontakt do samego końca, a co więcej, ona właśnie wyznaczyła mnie do roli tego, który ma wygłosić przemówienie nad jej grobem. Kiedy mi to powiedziała, myślałem, że żartuje, ale okazało się, że nie, bo przekazała to również innym osobom. Tuż po jej śmierci ktoś z jej bliższego otoczenia zadzwonił z przypomnieniem, że mam taką misję.

Byłeś przerażony?

Oczywiście, że byłem przerażony. Wygłaszanie przemówień na pogrzebach to nie jest łatwe zadanie. Byłem więc przerażony, ale to zrobiłem. Potem zresztą zostało ono wydrukowane w gazecie „Polska”.

Ja wiem, że to, o co teraz zapytam, jest bardzo stereotypowe, ale trudno o tym nie myśleć. Gdy się jest ocalonym spośród tak wielu, którzy zostali zgubieni i zabici, człowiek musi się zastanawiać – zwłaszcza jeśli jest wybitnym intelektualistą – dlaczego akurat on ocalał i jaka jest w związku z tym jego rola wobec tych, którzy zginęli. Wiem, że ty nie patrzysz na to w planie opatrnościowym, czyli że zostałeś wybrany, ale jakoś musisz sobie tłumaczyć tę niezwykłą sytuację i coś w związku z nią czuć.

(z *namysłem*) Sprawa ocalenia...? Na to oczywiście składały się różne rzeczy. Po pierwsze, grupy społeczności żydowskiej były skazane, bo nie miały żadnych możliwości ucieczki. Przede wszystkim ortodoksyjni Żydzi, którzy nie mówili po polsku i nie chcieli zrezygnować z rygorystycznych przepisów religijnych, a nie mogliby ich przestrzegać, ukrywając się. Oczywiście *summa summarum* skazani byli wszyscy, bo ideologia nazistowska była ideologią deterministyczną i od niej nie było odwołania ani wyjątków. Natomiast szanse uratowania były zróżnicowane, w zależności od tego, czy ktoś miał jakieś znajomości, czy był zamożny lub pochodził ze środowiska zasymilowanego, ale przede wszystkim czy miał znajomych lub przyjaciół po stronie polskiej. Wtedy miał pewną szansę. Jak mi się wydaje, w ratowaniu Żydów i w tym, czy oni przeżyli, ogromną rolę odgrywał przypadek. Powinno się tu mówić o filozofii przypadku, by użyć formuły znanej z tytułu książki Stanisława Lema, bo ocalenie lub zguba często zależały od tego, czy idąc daną ulicą, Żyd poszedł w lewo czy w prawo.

Ale ocalony nie myśli chyba w kategoriach stochastyki, tylko wyroków losu?

No tak, ale jaką rolę gra przypadek, najlepiej widać we wspomnieniach, zawartych w tomach *Dzieci Holocaustu mówią...* W jednym z nich pewna kobieta, niestety nie pamiętam w tej chwili jej nazwiska, miała tak zwane aryjskie papiery, a więc zmienione imię, nazwisko, adres i tak dalej. W tych dokumentach wpisano jej bodajże imię Marta. Ponieważ jadąc tramwajem czy pociągami, miała ze sobą jakieś kalendarzyki, zainteresowała się, kiedy są jej rzekome imieniny. I to się okazało za chwilę niezwykle ważną informacją, dlatego że w tym właśnie środku lokomocji podeszli do niej szmalcownicy i ją szantażowali, zadając różne kontrolne pytania. Jedno z nich dotyczyło tego, kiedy obchodzi imieniny. Dzięki temu, że wiedziała, przeżyła. To jest przykład, który pokazuje, jak ważną rolę odgrywał przypadek.

Oczywiście nad tym, dlaczego się ocalało, a inni nie, nie można się nie zastanawiać. Ja wobec siebie używałem formuły, że jestem szczęściarzem w nieszczęściu. Po prostu dane mi było życie.

No tak, ale później coś z tego wynika. Jak o tym myślisz? Ja przypuszczalnie bym uważał, że jestem coś winien zamordowanym, bo w przeciwieństwie do nich przeżyłem, więc bym się pewnie zachowywał jak wspomniany przez Ciebie Primo Levi (gdybyś oczywiście miał jego talent), to znaczy próbowałbym zdiagnozować i nazwać to, co nazywamy losem żydowskim i Zagładą. Ty wybrałeś inaczej: zajmowałaś się teorią i historią literatury, metodologią badań, językiem politycznym i wieloma podobnymi kwestiami. Z tego rozumiem, że nie miałeś poczucia, że jesteś im coś winien.

Nie umiem ci odpowiedzieć na to pytanie w kategorii winien – nie winien. Mogę się tylko zastanawiać, jak to się stało, że ja ocalałem, a mój młodszy o parę miesięcy kuzyn został

wywieziony do Trebłinki. To oczywiście jest ważna sprawa, ale nie wyobrażam sobie, że mógłbym się zajmować zawodowo sprawami Zagłady.

Czyli nie czułeś nacisku moralnego, że powinieś to zrobić?

Ja bym powiedział inaczej: człowiek, który jako dziecko ocalał z takiej opresji, musi się potem zastanawiać, czy jego życie staje się jakoś sensowne, czy robi rzeczy, które mają znaczenie społeczne, ale one mogą być zupełnie niezwiązane z problematyką losu żydowskiego. To może być analizowanie sanskrytu, zajmowanie się naukami przyrodniczymi...

Prowadzenie sierocińca...

Tak. Znam na przykład wybitnego chemika, profesora Zbigniewa Ryszarda Grabowskiego, starszego ode mnie o kilka lat, który napisał bardzo ciekawe wspomnienia o swoich doświadczeniach okupacyjnych. Nie umiem powiedzieć, czym się zawodowo zajmował, ale to miało na pewno sens, więc to mogą być różne rzeczy. Na przykład dla uratowanej z Holocaustu kobiety tym sensem może być to, że dobrze wychowuje swoje dzieci.

Ale dla Ciebie, jako literaturoznawcy, takim celem mogło być na przykład badanie papierów Oneg Szabat, prawda? Ale tak się nie stało...

Aby żyć normalnie, nie można cały czas myśleć o tym, co się działo w latach 1939–1945, bo to mogłoby prowadzić do szaleństwa. Zresztą ja w ogóle nigdy w życiu nie zajmowałem się problematyką żydowską w literaturze, bo mi to w ogóle nie przyszło do głowy.

Przepraszam Cię, że pcham palce do tej rany, ale wyobraźnia mi podpowiada, że w Twojej sytuacji – ocalonego – mógł się nad Tobą rozlegać głos umarłych: „Michał, ale ty jesteś nam coś winien”.

Zdarzało mi się o tym myśleć, ale to nie równało się naciskowi w podejmowaniu określonych tematów lub działaniu.

Jest scena w Twojej książce, gdy w kwietniu 1943 roku kobieta trzymająca na ręku małą córeczkę patrzy na płonące getto i wyraża radość z tego, co się dzieje, czyli z tego, że giną Żydzi.

To jest prawda, tak było.

Jak ty to traktujesz? Jako objaw zwierzęcego antysemityzmu czy rodzaj wyssanego z krwiaki matki ludowego mentalu?

Ja o tej niemłodej już wtedy kobiecie oczywiście nic nie wiem. Myślę, że ona po prostu przejęła... Niestety nie lubię formuły „zwierzęcy antysemityzm”...

(ironicznie) **Wolisz określenie „ludzki antysemityzm”?**

(z przyganą) Proszę cię... słowo „ludzki” ma różne znaczenia. Na przykład „bardzo agresywny”, „bezwzględny”. No przecież wiadomo, jak było. Reakcje na Zagładę w Polsce były bardzo różne.

Wiesz, nie bardzo mogę sobie to wyobrazić. Za murem giną i płoną żywcem ludzie, więc instynkt nakazywałby czuć przerażenie, zgrozę, empatię. W tym sensie ta kobieta i jej podobni antysemita nie przejawiają ludzkich uczuć.

W tej książce cytuję dwóch autorów najwyższej klasy mówiących o polskich reakcjach na Holokaust. Pierwszy z nich to Jarosław Iwaszkiewicz, który pisze, że jego żona wraca z Warszawy, gdzie widzi płonące getto i reakcje ludzi. Nic ich to nie obchodzi. Drugi wielki autor, jeszcze nie tak znany jak na to zasługuje, to doktor Zygmunt Klukowski ze Szczeczeszyna. On pisze o swoim zdumieniu, że okoliczni chłopcy i ich dzieci traktują zabijanie Żydów jako coś absolutnie zwykłego, naturalnego, niebudzącego żadnych reakcji typu moralnego.

Maria Dąbrowska, co wiemy z jej dzienników, też się wtedy opalała na dachu swego domu pod Warszawą, skarżąc się, że przeszkadzają jej płatki popiołu nadlatujące z nad płonącego getta.

Jest bardzo dobry artykuł mojej koleżanki, Hanny Kirchner, porównujący relacje o Zagładzie w dziennikach dwóch wielkich polskich pisarek, mianowicie Dąbrowskiej i Nałkowskiej. Są kontrastowe, bo Nałkowska patrzyła na to zupełnie inaczej. (milknie)

Piszesz też w swojej książce – rzecz rzadka w niej, z nazwiskiem – o księdzu Bujalskim, który w ramach katechezy zarażał dzieci nienawiścią do Żydów. Ona była skierowana konkretnie przeciwko Żydom, czyli stanowiła antysemityzm w zwierzęcej postaci, czy miała charakter ogólny?

Jak najbardziej jadowity antysemityzm. Napisałem o nim z nazwiskiem, ponieważ w Pruszkowie uchodzi za bohatera, bo był antykomunistą. No ale, jak widzimy, istnieje również antykomunizm idiotów, który zresztą napędzał zwolenników komunizmu. Nie jest to już specjalnie aktualna ideologia, ale przez wiele dziesięcioleci miała swoich wiernych wyznawców. Myślę, że ten duchowny był właśnie tego typu antysemitą. Znalazł on teologiczne uzasadnienie dla Zagłady i ją pochwalał, skoro zdarzyła się z wyroku bożego.

I jak ty myślisz o tych strasznych postawach ludzkich? Na ogół są ukrywane lub uśpione, w stanie hibernacji. Nie przychodzi ci czasem do głowy, że mogą wyleźć któregoś dnia z powrotem spod ziemi?

Mam nadzieję, że nie będzie już takich sytuacji dziejowych, w których mogłyby się obudzić. Poza tym uważam, że jeśli chodzi o uświadomienie społeczeństwa polskiego na temat antysemityzmu i wszystkiego, co wiąże się z żydowskim losem, w ciągu ostatnich lat zrobiono niebywale dużo, i to wymaga jak najwyższej oceny. Wielką rolę odegrały w tym pisma wydawane przez intelektualistów katolickich. Trzeba dostrzec wielką rolę „Więzi”, „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”, które tej problematyce poświęciły bardzo dużo miejsca. Do tego dochodzi ogromna rola niektórych księży, z księdzem jezuitą Stanisławem Musiałem na czele.

Równie wielki wkład w tę przemianę miał też niezależny obieg w latach siedemdziesiątych. Wtedy się coś naprawdę przełamało.

Tak, przełamało się, a historyczną rolę odegrał artykuł Jana Błońskiego pt. *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*, który ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” w 1988 roku. Jest to absolutnie niezwykle, że tekst człowieka, który nie był ani przywódcą narodu, ani politykiem, tylko znakomitym krytykiem literackim, wywołał tak ogromną dyskusję. Był przedmiotem ataków, i to z dwóch stron, bo PRL jeszcze wtedy istniał, więc nastąpiła ofensywa propagandy PZPR-owskiej oraz prawicowych katolików. Jak poinformował Jerzy Turowicz, w tym czasie do redakcji „Tygodnika Powszechnego” napłynęła duża liczba artykułów potępiających Błońskiego. Redakcja zdecydowała się na wydrukowanie tylko jednego. Skądinąd człowieka zasłużonego i wybitnego, mianowicie mecenasa Władysława Siły-Nowickiego. Byłem zdumiony jego tekstem, bo w moim przekonaniu był on niezwykle dzielny i szlachetny adwokatem, który bronił więźniów politycznych, za co mu się należą wyrazy szacunku. Jednakże jako młody człowiek w latach trzydziestych był autorem skrajnie antysemitycznych artykułów w tygodniku „Prosto z Mostu”. Były to, muszę powiedzieć, artykuły odwołujące się do argumentu siły. Uważał, że Żydów trzeba z Polski wyprosić, czyli wygnąć...

Na Madagaskar?

Czy na Madagaskar, nie pamiętam, może gdzieś indziej, ale mówił wprost o konieczności wysiedlenia ich z Polski. Mieli w niej zostawić swoje majątki jako zadośćuczynienie za krzywdy, które wyrządzili Polakom. Muszę powiedzieć, że jeśli wybitny prawnik opowiada się za tak małą praworządnyimi metodami, to jest to dość dziwne. No ale ja tylko referuję te artykuły.

Czy uważasz, że demon antysemityzmu pozostaje w uśpieniu, ale może być wyzwolony przez jakieś nieprzyjemne wypadki historyczne?

Przypominam ci, że do istnienia antysemityzmu nie są potrzebni Żydzi. Bo to jest pewien mit. Myślę, że z jednej strony możemy być optymistami, bo w edukacji społecznej zrobiono naprawdę dużo – sporo napisano, niemało mówiono też w różnych radiostacjach i w stacjach

telewizyjnych, więc ten wielki proces edukacyjny coś zmienił, z drugiej jednak strony mamy też jawny antysemityzm, którego symbolami są dwaj teolodzy z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: Jerzy Bajda i Jerzy Bartnik, obecnie bardziej znany, prawda? No i jest oczywiście człowiek, który stał się symbolem dzisiejszego antysemityzmu w kraju, czyli Jerzy Robert Nowak.

Ale trzeba też powiedzieć, że na tym samym KUL-u działa również na Wydziale Filologicznym znakomita katedra, gdzie pracuje zespół młodych uczonych, którzy zajmują się problemami judaistycznymi. Stworzył go nieżyjący już niestety wybitny polonista Władysław Panas. W większości są to jego uczniowie. Zauważ więc, proszę, że na jednym uniwersytecie pojawiają się tendencje tak rażąco kontrastowe. Jest to poniekąd symboliczne. Ale ponieważ jestem człowiekiem raczej skłonny do przewidywań optymistycznych, uważam, że z tej wielkiej pracy edukacyjnej już teraz wynika wiele dobrego.

Ale to poczucie może być złudne, bo na przykład w początkach lat sześćdziesiątych czułeś się dość bezpiecznie, a jednak już w 1968 roku zadałeś Romanowi Zimandowi pytanie, które mną wstrząsnęło: „Czy nie uważasz, że mogą założyć dla nas obozy koncentracyjne?”. Zobacz, jak szybko to się może zmienić...

Rok 1968 przyniósł niesamowitą eksplozję. Bardzo dziwną zresztą i ciekawą, gdy patrzy się na nią z perspektywy języka propagandy, bo w nim nałożyły się na siebie dwie skrajności: jego wersja komunistyczna, nieraz czysto stalinowska, oraz wersja faszystowska z lat trzydziestych. To niezwykle ciekawe zjawisko, którym się zajmuję zawodowo, bo od czterech lat prowadzę w szkole nauk społecznych seminarium na temat polskiego dyskursu antysemickiego. Obserwujemy wraz ze studentami jego dzieje od początku XIX wieku. Doszliśmy właśnie do okresu marcowego. To jest niezwykle, jak język komunizmu łączy się z językiem skrajnej nacjonalistycznej prawicy.

W twojej książce kilka razy pojawiają się określenia „marcowy lęk” czy „marcowy strach”. A równocześnie to był ważny czas dla ciebie, zarówno w życiu badawczym, jak i osobistym. Czy możesz wytłumaczyć, jak łączą się te sprzeczności?

Powiem od razu, że w marcu 1968 roku nic złego się w moim życiu osobistym nie zdarzyło, natomiast nie do zniesienia była atmosfera ogólna. Ja sobie wtedy uświadomiłem, o czym chyba piszę w książce, że żyję w ustroju komunistycznym, który jest równocześnie ustrojem faszystowskim. Strasznie stresująca była propaganda, nie tylko antysemicka, ale również...

Antyinteligenska?

Tak, antyinteligenska. Strasznie stresujące było to, jak 8 marca potraktowano studentów. Ja to akurat widziałem na własne oczy. (*ciężko wzdycha*) To było okropne. Bardzo nieprzyjemnym zjawiskiem było też to, co można nazwać – za Ionesco – nosorożeniem się. To akurat nie dotyczyło moich znajomych, ale w życiu publicznym obserwowałem tego niemało. Oto człowiek, którego traktujesz przyjaźnie, bo do tej pory zachowywał się normalnie, nagle się okazuje nosorożcem. Czyli osobowością totalitarną.

Bohater tego dramatu, Bérenger, postanawia, że on jeden nie będzie nosorożcem, więc wspina się na jakiś słup i na nim siedzi. Nie poczułeś się w jego sytuacji?

Nie, nie...

Ale to chyba wtedy zacząłeś prowadzić notatki na temat języka PRL-owskiego? W tobie na pewno nastąpiła także badawcza przemiana.

Tak, ale zacząłem je pisać nie w Marcu, tylko dwa lata wcześniej. Dokładnie w 1966 roku.

Już wtedy poczułeś odór, który rozszedł się w Marcu?

No oczywiście, że ostatnie lata panowania Gomułki były okresem gnicia. Na początku jednak traktowałem te zapiski jako rodzaj hobby. Nie sądziłem, że z tego wyniknie coś poważnego, na dwadzieścia pięć lat. Zresztą potem miałem pięć lat przerwy.

Ten język po prostu mnie irytował, więc próbowałem go opisać. Niestety nie miałem do tego odpowiedniego warsztatu, bo posługiwałem się warsztatem poetyki, który został uformowany do opisu wybitnych utworów literackich. A ja go zastosowałem do opisu dyskursu totalitarnego. Muszę tu więc na marginesie powiedzieć z satysfakcją, że kiedy zacząłem ujawniać te swoje prace, zyskały one aprobatę językoznawców, podczas gdy ja się trochę obawiałem, że oni potraktują mnie jak niekompetentnego jegomościa, który wdziera się na ich tereny łowieckie. Na szczęście tak się nie stało.

Jako potwierdzony już badacz języków politycznych i społecznych pewnie lepiej niż inni wychwytyjesz mechanizmy obecnego języka polityki? Co słyszysz?

Ja się tym teraz już nie zajmuję...

Ale słyszysz...

Słyszę, ale w „Gazecie Wyborczej”, „Tygodniku Powszechnym” i „Polityce”, czyli w trzech czasopiśmie, które czytam systematycznie, niczego złego nie słyszę. Tyle że sytuacja obecna różni się od PRL-owskiej tym, że panuje polifonia.

Niedawno napisałem niedrukowaną jeszcze pracę pod tytułem *Trzy dni z „Naszym Dziennikiem”*⁴, więc mogę powiedzieć, że kiedy się czyta tę gazetę, to rzeczywiście może ogarnąć człowieka przerażenie, bo mówi ona językiem agresji, nienawiści i jedynej racji. Kto myśli inaczej, to wróg. Ale to wszystko jest partykularne. Tak było w dwuleciu 2005–2007, kiedy władza należała do Prawa i Sprawiedliwości. Po wyborach parlamentarnych w 2007 roku to nie zanikło, ale agresja znów stała się partykularna, czyli nie ma tego zasięgu, co wcześniej. Klasycznym przykładem języka przypominającego przemówienia Gomułki było słynne przemówienie prezesa PiS-u Jarosława Kaczyńskiego w stoczni w 2006 roku.

Logika nakazuje sądzić, że agresja językowa jest po obu stronach, bo teraz nie ma jednej strony...

Po wszystkich, ale są to jednak różne typy agresji, prawda?

Dyskurs prawicowy niepokoi cię bardziej, tak? Choć po lewej stronie też nie słyszymy pienia słowików...

Nie chcę się wdawać w takie polityczne rozważania. Nie jestem językoznawcą.

Trochę już jesteś.

Jak wiesz, wyszło wznowienie mojej książki, która nosi tytuł *Nowomowa i ciągi dalsze*. Piszę w niej o tych sprawach, między innymi o tym, że w ostrości języka PiS-owi nikt nie dorównał...

Czyli jesteś specjalistą od języków polityki i propagandy. A w takim razie nie intriguje cię język, jaki wykształca się w związku z tragedią rządowego samolotu pod Smoleńskiem? To chyba jakiś nowy język. Z jednej strony oparty na retoryce kościelnej, a z drugiej nasączony pierwiastkiem propagandowym. Co o nim sądzisz?

Ja się tym językiem już nie zajmuję i jego mechanizmów nie śledzę. Nie umiem więc odpowiedzieć na to pytanie.

Ale do wyrażenia nieszczęścia i śmierci nie ma chyba innego języka?

W polszczyźnie oczywiście, bo to jest język romantycznego bohaterstwa i ofiary na stosie, by nawiązać do *Pierwszej brygady*... Może ktoś kiedyś prześledzi polski język używany w sprawach publicznych i udowodni, że po epoce komunizmu nastąpił powrót do języka Kościoła katolickiego, co jest zrozumiałe, bo od dawna ma miejsce kryzys języka lewicy. I to nie lewicy komunistycznej, bo z nią możemy sobie dać spokój, ale lewicy spod znaku przedwojennej

⁴ Michał Głowiński, *Trzy dni z „Naszym Dziennikiem”*, w: tegoż, *Realia, dyskursy portrety. Studia i szkice* (Kraków: Universitas, 2011), 89–119.

Polskiej Partii Socjalistycznej. Ona nie ma języka. Myślę nawet, że jednym z powodów kłęski tego wielkiego człowieka, jakim był Jan Józef Lipski, który chciał ją reaktywować, było to, że musiał mówić językiem, który został odrzucony. Już sama ta nazwa, Polska Partia Socjalistyczna, w 1989 roku, kiedy ją – trzy lata przed śmiercią – zakładał, była dla społecznej świadomości nie do przyjęcia. Bo słowa „socjalizm” używano na oznaczenie systemu totalitarnego PRL, ponieważ słowem „komunizm” w Polsce posługiwano się bardzo rzadko.

U nas słowo „socjalizm” było po prostu eufemizmem politycznym albo peryfrazą. Zamiast komunizmu mieliśmy socjalizm, bo złego należało jakoś przezwąć.

No tak.

Pozwól, że powrócę raz jeszcze do klaustrofobii, bo na jej temat padły tylko dwa zdania, a sprawa jest ważna. Czytając „Kręgi obcości”, lepiej zrozumiałem jej mechanizmy. Na przykład, że uniemożliwiała ci udział w różnych akcjach opozycyjnych. Jak powiedziałaś, jest ona przykrym spadkiem po drugiej wojnie światowej, „blizną” po ukrywaniu się w przysłowiowej szafie. A jak przejawia się w twoim życiu codziennym?

Jak wiadomo, klaustrofobia może być nabyta i wrodzona. Jak to jest ze mną, naprawdę nie wiem. Wczoraj rozmawiałem z redaktorką Katarzyną Kubisiowską, która przeprowadzała ze mną wywiad dla „Tygodnika Powszechnego”. Ona też mnie o to pytała. Wyjaśniam więc po raz drugi, że to nie jest zwykła niedogodność bycia zamkniętym, bo tego przecież nikt nie lubi, ale pewna przypadłość typu psychicznego, która ma konsekwencje somatyczne, co znaczy, że gdybym miał świadomość, że jedne i drugie drzwi w tym gabinecie są teraz zamknięte na klucz od zewnątrz, bez możliwości wyjścia, to bym się zaczął dusić, przestałbym racjonalnie myśleć i na pewno bym z tobą nie rozmawiał. To jest fobia, w dużej mierze irracjonalna, dlatego że człowiek się boi w momentach, w których właściwie bać się nie musi. Rozmawiając wczoraj z panią Katarzyną, dałem jej taki przykład. Ja teraz nie jeżdżę już ani metrem, ani windami, ani tym bardziej samolotami, ale kiedyś mi się zdarzało. Ostatni raz jakieś dwadzieścia lat temu. Wyobraź sobie, że największe odczucie klaustrofobiczne miałem wtedy, kiedy samolot stał na płycie lotniska, już zamknięty, ale jeszcze nie ruszał. Drugie miało miejsce wtedy, kiedy już wylądował, ale drzwi nie zostały otwarte, to znaczy w momentach, w których racjonalnie myślący człowiek absolutnie żadnego zagrożenia nie czuje. Za to kiedy szybował w przestworzach, byłem spokojny, uważając go, widać, za pudełko od sardynek, z którego i tak wyjść nie mogę. Jak widzisz, to jest absolutnie irracjonalne.

A czy ta przypadłość w jakiś sposób przejawia się w twoich analizach polonistycznych albo w pisarstwie? Ale nie myślę o postaci stematyzowanej, ale głębszej strukturalnie.

Czymś takim mogła być moja praca o labiryncie, na której pomysł wpadłem, gdy byłem bardzo młodym człowiekiem. Miałem wtedy dwadzieścia parę lat, a napisałem ją, gdy miałem już ponad pięćdziesiąt. Przypuszczalnie sądziłem, że zajęcie się tym tematem może mieć dla mnie znaczenie psychoterapeutyczne. I przez długie lata, oczywiście robiąc jednocześnie dziesiątki innych rzeczy, zbierałem materiały. (*rozbawiony*) Miałem nadzieję, że kiedy zacznę pisać, to prostu wyrzucę z siebie tę klaustrofobię. W końcu napisałem artykuł, a właściwie duży, prawie stustronicowy esej. Wszedł do książki o mitach antycznych w XX wieku⁵, ale mi w niczym nie pomógł.

Każdy terapeuta mówi, że o tym, co jest trudnym problemem, należy pisać albo mówić, bo to może pomóc. Może więc należało pod tym kątem przepatrywać twórczość różnych pisarzy? Mielіśmy w końcu licznych klaustrofobów, którzy też się z tym problemem borykali. Na przykład Tadeusz Konwicki.

(*zdziwiony*) Konwicki miał klaustrofobię?

O tak, i to ciężką. Był zamykany w dzieciństwie w domu, a jego matka zniknęła na całe dni, więc siedział jak w więzieniu, marząc o tym, żeby się wydostać. I stąd te jego dziecięce ucieczki opisane w „Dziurze w niebie” lub w „Kronice wypadków miłosnych”. Jako dorosły w kinie zawsze siadał z brzegu rzędu, żeby móc w każdej chwili wyjść.

(*z uśmiechem*) Ja też!

(żartobliwie) No to jak to jest? Wybitny literaturoznawca nie wyczuwa w pisarzu bratniej duszy na podstawie lektury jego książek?

Być może nie znam wszystkich powieści Konwickiego? Chociaż nie... większość znam. Najbardziej labiryntowe są *Wniebowstąpienie*, a także *Mała apokalipsa*. Pierwszą z nich uwzględniłem w tym szkicu, o którym mówiłem.

Ciekawi mnie, czy z tego powodu nie ciągnęło cię podświadomie do określonych pisarzy.

(*po zastanowieniu*) Nie wiem. W młodości napisałem na przykład recenzję pt. *Metafora przestrzeni zamkniętej*, która była omówieniem wybitnego tomu wierszy Mieczysława Jastruna pt. *Genezy*. Ukazał się pod koniec lat pięćdziesiątych.

Jeśli mówimy o nazywaniu trudnych rzeczy, to „Kręgi obcości” są też formą twojego coming outu. Pierwszy raz chyba o tym piszesz, więc pewnie bardzo trudno było ci zrzucić ten ciężar. Zwróciłem uwagę na sformułowanie, że momentami doprowadzało cię to do obłądu.

⁵ Michał Głowiński, *Labirynt. Przestrzeń obcości*, w: tegoż, *Mity przebrane* (Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1990), 200–210.

Pisząc tę książkę, uświadomiłem sobie, że tu nie chodzi o żaden coming out, bo w moim wieku, a mam skończonych siedemdziesiąt pięć lat, takich numerów już się nie robi, bo to jest po prostu bez znaczenia. Włączyłem ten wątek wyłącznie dla dobra tekstu, bo uznałem, że jeśli się pisze autobiografię...

(zdziwiony) Czyli nie zrobiłeś tego dla własnego zdrowia psychicznego?

Nie! Kiedy więc pisze się autobiografię, nie można pomijać tak ważnego rejonu życia ludzkiego, prawda? Gdybym go przemilczał, to osoby, które mnie znają, wiedziałyby dlaczego, a osoby, które mnie nie znają, wyczuwałyby w tym coś podejrzanego, nad czym trzeba się zastanawiać. Uważałem więc, że to byłoby fałszowanie siebie, gdybym o tej sprawie otwarcie nie powiedział, a ja chciałem napisać książkę, która ani z fałszem, ani z kłamstwem nie ma nic wspólnego. Jak pewnie zauważyłeś, pisałem o tym bez szczegółów, dyskretnie... (*waha się*)

Bez żadnej pikanterii...

Bez pikanterii, ekshibicjonizmu i tak dalej. Staralem się o tym mówić jako o sytuacji egzystencjalnej człowieka należącego do pewnego pokolenia, bo teraz jest już zupełnie inaczej. I chwała Bogu, że już przestaje to być sprawą wstydliwą. Zresztą uważam, że to nie jest sprawa moralna, bo ona od człowieka nie zależy. To nie była sprawa mojego wyboru, bo wtedy byłby on inny. Taki się urodziłem i taki jestem.

Piszesz w tej książce, że twoim największym błędem młodości było pozostawienie tej sprawy w ukryciu. Ale czy była możliwa inna postawa w latach pięćdziesiątych albo sześćdziesiątych?

Nie chcę operować nazwiskami, bo nie mam do tego upoważnienia, ale znam co najmniej dwóch wybitnych i cieszących się wielkim autorytetem profesorów nauk humanistycznych, którzy rozwiązali ten problem inaczej.

Nie wiem, co masz na myśli, ale życie uczy, że w każdym środowisku mamy przypadki odmienności seksualnej, czasem mające postać wyrazistą, a czasem dyskretną, ale na ogół nic złego się wokół tego nie dzieje. Niektórzy o tym wiedzą, innych to kompletnie nie interesuje. Może czasem ktoś zażartuje, ale zwykle bez złych intencji, więc to jest raczej rodzaj lęku wymyślonego.

No tak, ale w moim pokoleniu nie był on wymyślony. Ja zresztą piszę o tym, że wychowanie u zakonnic nałożyło się niewątpliwie na nieświadomy purytanizm moich rodziców.

Czyli blokada była też w tobie, nie tylko w otoczeniu?

Tak, ale jeśli człowiek ma ten problem, to – jeśli nie odgrywa komedii i nie uprawia jakichś stylizacji życiowych – jest on wykrywalny, prawda? No choćby widać, że taka osoba prowadzi życie samotne, co już jest wyraźnym znakiem odmienności.

Ale nikt się pewnie tym specjalnie nie zajmuje, bo każdy ma dość własnych problemów. Pewnie koledzy wiedzą, domyślają się, ale nie poświęcają temu specjalnie uwagi.

Z tego, co wiem, moją sytuację poddawano różnym analizom. Mówiono o tym na boku, nawet wiem co, więc to do mnie tak czy inaczej dochodziło.

No, ale też nic złego się nie stało...

Bo szczęśliwie w Polsce ta kondycja nie była, między innymi dzięki liberalnemu prawu z lat trzydziestych i Boyowi-Żeleńskiemu, karalna. Ale na przykład w Rosji już była.

Wyznajesz w „Kręgach obcości”, że prowadziłeś dzienniki intymne, co mnie zaciekało, bo rozumiem, że opisałeś w nich szczegółowo swoją orientację i związane z nią przeżycia. Kiedy ukażą się drukiem?

Nie ma żadnych dzienników na ten temat. Czasem robiłem jakieś notatki, ale z mojej książki wcale nie wynika, że pisałem dzienniki. Jesteś za bardzo dociekliwy.

Ale to jest niezły temat – trudny i ciekawy. To jest rzecz ludzka, więc można o niej pisać, a ty przecież posiadasz dar języka, bo kto ma go mieć, jak nie wybitny literaturoznawca.

Ta książka jest napisana całkowicie z pamięci. Nie sięgałem do żadnych swoich notatek, których skądinąd trochę miałem, nie korzystałem też z żadnych wycinków z prasy i nie chodziłem do bibliotek, żeby sobie przypominać, co pisano wtedy w czasopiśmie „z epoki”. Gdy czegoś nie pamiętałem, to o tym nie pisałem. Traktowałem to jako rozładunek bagażu pamięci.

No dobrze, a nigdy cię nie kusilo, żeby napisać książkę na przykład o Oskarze Wildzie albo Arturze Rimbaudzie?

Kiedy miałem szesnaście lub siedemnaście lat, przeczytałem *Króla życia*, czyli biografię Wilde’a pióra Jana Parandowskiego. Miała dla mnie duże znaczenie. Mogłem o tym wspomnieć w tej biografii, ale akurat książkę czytałem dużo.

Czyli nie będzie rozszerzonej wersji „Kręgów obcości”?

Będzie i nie będzie, dlatego że nie planuję pisanego niczego na ten temat, ani na żadne inne tematy osobiste. Mam jednak w teczce kilka opowiadań, które umieściłem w szufladzie. Teraz

uznałem, że mogę je opublikować, skoro o tych sprawach zacząłem już mówić otwartym tekstem. I rzeczywiście kilka z nich ukaże się wkrótce w różnych czasopismach.

Ale nie jest tak, że w szafie trzymasz cztery tomy dzienników i inne memuary?

Mam tylko jakieś notatki osobiste, ale trudno je nazwać dziennikami.

Porozmawiajmy chwilę o IBL-u, bo już pojawił się na początku naszej rozmowy, a jest to niezwykła placówka naukowa, o której – jak każdy polonista – nieco wiem, ale w tej wiedzy są duże braki. Piszesz w „Kręgach obcości” między innymi tak: „Znalazłem się wśród ludzi niezwykłych i wybitnych, przestrzegających najwyższych standardów naukowych i moralnych”. Trudno nie zapytać, jakim cudem władze, którym wasz instytut stale stał kołkiem w gardle, po prostu go nie rozgoniły na cztery wiatry, choć mogły to zrobić w każdej chwili. Jakie parasole was chroniły? Ktoś musiał osłaniać ten skandal... Knuliście przez tyle lat, a władza ludowa się z tym pogodziła? A niby czemu?

Do roku 1968 nasz instytut był atakowany przez grupę partyjnych polonistów karierowiczów, których nazwiskami nie będę operował.

Tak, zauważyłem, że kiedy piszesz o kimś źle, nie używasz nazwisk. Ale nazwisko na przykład Jakubowskiego padło.

Tak, padło, ponieważ Jan Zygmunt Jakubowski był osobą publiczną i odegrał fatalną rolę w dziejach naszej dyscypliny. Był niezwykle przeciętnym profesorem historii literatury polskiej, nominowanym na dyrektora IBL-u w okresie stalinowskim. Otwarcie też piszę o Witoldzie Nawrockim, który w latach osiemdziesiątych został przeniesiony z Komitetu Centralnego PZPR do Pałacu Staszica, gdzie się nam przez cztery lata panoszył jako dyrektor. To są osoby publiczne, więc nie ma powodu, żeby mówić o nich bez nazwisk, prawda? Złamałem też tę zasadę w wypadku wspomnianego już księdza Bujalskiego z Pruszkowa, który wprawdzie nie był osobą publiczną, ale jednak wymieniam go z nazwiska, bo mu się to należy, gdyż był opętany nienawiścią, a co gorzej, przelewał ją na dzieci w szkole podstawowej.

W porządku, mnie to nie razi. Mówiłeś o partyjnych karierowiczach, którzy zaciekle atakowali IBL. Po co to robili? Żeby przejąć wasz budynek? Wasze posady? A cóż to za pieniądze? Ja tego nie rozumiem.

W tej walce istotny był m.in. konflikt środowiskowy, bo IBL stał na bez porównania wyższym poziomie niż warszawska polonistyka. Oni więc chcieli po prostu zwalczyć konkurencję środkami ideologicznymi. A że to byli cyniczni faceci i facetki (choć głównie panowie) związani z moczaryzmem, więc chcieli przy pomocy różnego rodzaju intryg, donosów i artykułów prasowych doprowadzić do likwidacji naszego instytutu. Do 1968 roku był on jednak chroniony

przez jego założyciela, Stefana Żółkiewskiego, który był szefem pierwszego wydziału Polskiej Akademii Nauk, więc jemu właśnie podlegał instytut. Ponieważ jednak w marcu 1968 roku potępił bicie studentów i antysemityzm, wyleciał ze wszystkich stanowisk i wylądował u nas, czyli stał się naszym starszym kolegą. Wiem, że do władz PAN-u, a także do Wydziału Nauki KC PZPR wpływały liczne wnioski o likwidację IBL-u, jednakże władze nie chciały tego zrobić i nas nie zlikwidowały.

No właśnie, rozumiesz dlaczego?

Myślę, że dla władz to była mała sprawa, a poza tym w tym instytucie pracowali...

Różnego rodzaju wichrzyciele, nawet spora ilość.

Tak, to prawda, ale to była pewnego rodzaju nisza, w której na dodatek istniały problemy dyrektorskie, szczególnie po zdymisjonowaniu Kazimierza Wyki – wybitnego uczonego, którego stulecie urodzin obchodzimy w tym roku. Na ogół dyrektorów przywożono nam z zewnątrz w teczce, bo władze nie chciały nikogo spośród pracowników. Efekty tych nominacji były czasem zdumiewające. Opisałem w *Kręgach obcości* między innymi groteskową historię pewnego pana z Łodzi, który był dyrektorem tylko przez trzy godziny, bo tak się przeraził, że uciekł. IBL-u jednak nie zlikwidowano, bo po 1956 roku władze znacznie mniej wtrącały się do nauki, także do nauk humanistycznych, niż w okresie stalinowskim.

Gdyby władzom był potrzebny listek figowy, to bym rozumiał, ale one go tak naprawdę do niczego nie potrzebowały.

Ale jakoś tak się stało, to nie była historia udostępniona. Podobnym problemem dla władz był Instytut Filozofii i Socjologii PAN, Instytut Historii PAN, a także – choć w mniejszym stopniu – Instytut Sztuki. Jak pewnie wiesz, po 1968 roku w jednostkach Polskiej Akademii Nauk wielokrotnie zatrudniano osoby wyrzucane z uniwersytetów. Nieraz byli to znani kontestatorzy czy działacze społeczni, jak na przykład Jan Józef Lipski, który pracował w naszym instytucie na jakiejś części etatu. Zwolniono go dopiero w stanie wojennym, a i to przy użyciu prawniczego haka, bo w jakiejś ustawie (nie wiem, czy nadal obowiązuje) znaleziono zapis, że jeśli ktoś siedzi przez trzy miesiące w więzieniu, to pracodawca ma prawo go zwolnić. Więc niestety Jan Józef przestał być naszym pracownikiem.

Opisujesz to dokładnie w swojej książce, podobnie jak akcję zbierania wśród waszych pracowników podpisów pod petycją przeciwko tej decyzji. No i nie poszło to tak dobrze, jakby się wydawało, bo w tak ciepło przez siebie opisywanym zespole ujawniły się jednak pęknięcia, nie tylko międzyludzkie, ale i polityczne. Czyli nie było to takie arkadyjskie miejsce.

Oczywiście, że nie, bo istniała przecież IBL-owska *realpolitik*, o czym zresztą uczciwie wspominał. Nie chcę jednak podawać nazwisk...

No to zdradź może, ile osób podpisało ten protest.

List w obronie Jana Józefa Lipskiego podpisało około dwudziestu osób. Inna rzecz, że niektóre osoby podpisać nie mogły, bo pełniły u nas jakieś funkcje, poza tym pojawiła się histeria, że jeśli ten list podpiszemy to... (*wahanie*) instytut zlikwidują. Pewnie tak by się nie stało, ale to wiemy dzisiaj. Wtedy jednak był rok 1977 czy 1978, więc to wyglądało groźnie, ale...

Ale wam uświadomiło, że tak naprawdę nie jesteście zespołem?

Nie, bo w sensie naukowym byliśmy zespołem. Ale faktycznie wtedy powstała wyraźna rysa.

W następnych latach musiała się poszerzać albo powstawały nowe rysy. Nie wiem, czy dziś są one szersze i czy mają związek z poprzednimi. Mówi się, że obecnie w Instytucie Badań Literackich jest już przepaść między badaczami o orientacji liberalnej i konserwatywnej. Janusz Sławiński na pewno ma poglądy prawicowe, Tomasz Burek podobnie, Jacek Kopciński także...

Tak, ale u Jacka przejawia się to w tak łagodnej wersji, że można znieść...

Jest też Włodek Bolecki, prawda? Czyli dotyczy to istotnej części waszego składu osobowego, choć wymieniam tylko niektóre osoby. Michale, to jest podział, który – jak rozumiem – cię boli lub irytuje?

Trudno mi na ten temat mówić. Nie ze względu na mnie, tylko ze względu na moich kolegów, z których niektórzy już koszmarnie się obrazili na mnie za tę książkę, więc już nie chcę do tego nic więcej dodawać.

Ale nie uważasz chyba za nienaturalne, że w jednym miejscu pracują ludzie o poglądach prawicowych i lewicowych. To raczej normalne.

No tak, tylko że w okresie PRL-owskim tego typu podziały nie wykluczały wspólnot. Natomiast teraz, zwłaszcza po dojściu do władzy PiS-u, podziały stały się bardzo, bardzo wyraźne.

Do tego stopnia, że uczeni o różnych poglądach nie mogą już ze sobą naukowo współpracować?

Tego nie wiem. Jestem emerytem, więc nie śledzę już tego uważnie...

Ale widzisz jeszcze dobrze...

W każdym razie wiem, że są u nas osoby, które mają ze sobą dobre relacje koleżeńskie, ale pod warunkiem, że nie rozmawiają na tematy polityczne.

Aaa, to oznacza, że pęknięcie jest bardzo głębokie. W PRL-u pewna część uczonych należała do partii, większość nie należała, ale współpraca naukowa była absolutnie możliwa.

Dla mnie kryterium normalności stosunków panujących w Instytucie Badań Literackich w tamtych czasach było to, czy wiem, kto jest sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej, czy nie wiem. Na ogół nie wiedziałem, co było wtedy możliwe tylko w nielicznych instytucjach.

Kiedy czytamy fragment o podpisywaniu listów protestacyjnych do władz PRL, musi nam się przypominać List 34 oraz niesławny Kontrlist, pod którym podpisało się sześciuset członków Związku Literatów Polskich. Ponieważ organizacja pisarska liczyła wtedy około tysiąca dwustu osób, to oznacza, że ten ohydny list podpisała dokładnie połowa środowiska. To stawia pod dużym znakiem zapytaniem legendę o niezależności i odwadze Związku...

On nie był ohydny, tylko ohydny funkcjonalnie.

Bo był dobrze sformułowany?

No tak, bo był ogólnikowy i... (*milknie*)

Ale znaczył to, co znaczył. Na pewno dobrze wyczuwasz, dlaczego ja się wokół tej sprawy kręcę. Bo to oznacza, że poziom konformizmu środowiska pisarskiego był wyjątkowo głęboki, natomiast w opiniach przez nie lansowanych było ono wyjątkowo niezależne. Czy to nie jest podstawa do pisania na nowo historii literatury powojennej?

Byłem członkiem Związku Literatów Polskich od 1963 roku, więc chodziłem na zebrania oddziału warszawskiego. To było środowisko bardzo podzielone, w którym najważniejsze były konflikty polityczne. Kiedy więc część opozycyjna występowała, powiedzmy, o zniesienie kary śmierci, to część gorliwych członków partii bardzo przeciwko temu protestowała, argumentując, że kara główna jest dobrą rzeczą. A dlaczego? Bo było wiadomo, że towarzysz Gomułka bardzo ją cenił i był jej wielkim zwolennikiem. I tak to było organizowane.

Ale trzeba też powiedzieć, że opinie nonkonformistycznej części ZLP wpływały jednak na zachowania wielu pozostałych członków, którzy byli mniej odważni, więc ja bym aż tak daleko idących wniosków nie wysuwał.

Ale generalnie dominowała peerelizacja tego środowiska. Czy mutatis mutandis można odnieść to także do Instytutu Badań Literackich?

Ten proces nie musiał się dokonywać, bo IBL powstał już jako instytucja PRL-owska, która miała szerzyć jedynie słuszne poglądy marksistowskie w nauce o literaturze oraz walczyć z tzw. starą, czyli przedwojenną, profesurą. Ale kiedy ja zaczynałem w nim w pracę, w 1958 roku, to już nie było nawet śladu takiej ideologii, a geneza IBL-u stawała się sprawą coraz

bardziej wstydliwą. Kiedy obchodzono w nim co dziesięć lat jubileusze, o genezie mówiono coraz mniej. Od niemal bojkówki ideologicznej instytut przekształcał się w coś zupełnie innego. Wydaje mi się, że o tym należy przypominać, między innymi dlatego, że to pokazuje proces przekształceń polskiej inteligencji.

Naprawdę, ja nie odczuwałem w IBL-u żadnych nacisków politycznych. Zresztą, jeśli mówimy o jego pierwszym okresie, rozpoczętym w 1948 roku, to warto dodać na co zwróciła mi uwagę po przeczytaniu *Kręgów obcości* Hanna Kirchner, która jest troszkę starsza ode mnie, więc pamięta instytut od początków lat pięćdziesiątych, że Żółkiewski tworząc go, jednocześnie zadbał o coś, co ideologiczne nie jest – mianowicie o pracownię dokumentacyjną. Czyli od razu zaczęto tworzyć wielkie pracownie edytorstwa i bibliografii.

I to było według ciebie świadome?

Na pewno, bo Żółkiewski miał wprawdzie poglądy komunistyczne, ale jako człowiek wybitnie inteligentny, kreatywny i po prostu mądry, wiedział, że żadna – marksistowska czy nie marksistowska – historia literatury nie może istnieć bez bibliografii czy historii języka. Zauważ, proszę, że już na początku lat pięćdziesiątych Maria Renata Mayenowa założyła w IBL-u coś, co nigdzie indziej wówczas nie byłoby możliwe, mianowicie pracownię *Słownika polszczyzny XVI wieku*, wydawanego do dzisiaj, bo jest to dzieło obliczone na kilka pokoleń. Rejestruje wszystkie słowa, które zostały zapisane w XVI wieku. Zaraz po wojnie panowała moda na renesans, więc ona przekonała kogoś, kto mógł o tym decydować, że renesans jest postępowy, zatem należy solidnie zbadać język tego okresu. W związku z tym jest to bodaj jedyny na świecie słownik języka całej epoki literackiej. Oczywiście to się wiązało i nadal się wiąże z ogromnymi kosztami. Śmiałbym twierdzić, że w żadnym innym czasie nikt by jej tego nie sfinansował. Maria Renata Mayenowa to była zresztą niezwykłą osobą.

Jak wcześniej powiedziałeś, dla części twoich kolegów i koleżanek z Instytutu Badań Literackich „Kregi obcości” były denerwujące. Dlatego, że oni pielęgnują w sobie jego inny, równie subiektywny, obraz? A może z innego powodu?

Ja nie czułem się zobowiązany do opowiadania historii Instytutu Badań Literackich, co skądinąd ważne, ale obecnie to powoduje nieporozumienia. Nie pisałem jego historii i nie miałem nawet zamiaru tego robić, bo to by wymagało poszukiwań archiwalnych i gromadzenia wspomnień różnych osób, zwłaszcza tych, które żyją. Pisałem więc o IBL-u tak, jak go widziałem wtedy i tak jak go widzę dzisiaj. Niestety po opublikowaniu tej książki pojawiły się pretensje w rodzaju: A nic nie napisałeś o pani profesor X, o panu Y za mało, a o Z w ogóle. Mówiąc inaczej, spotkałem się z nieprzyjemnym dla mnie zarzutem, że na swój sposób kłamię, nie pisząc o takich czy innych osobach. Tego rodzaju uwag nie przyjmuję, bo opowiadałem

tylko o tych osobach, z którymi miałem kontakt lub współpracowałem. Podobnych zarzutów może być wiele.

Piszesz w swojej książce, że nie byliście środowiskiem zakażonym marksizmem, ale jednak całe literaturoznawstwo polskie było zanurzone w jego języku. Jak wiemy, był to nie tylko język uczonych humanistów, ale też systemu zbrodni, terroru i zniewolenia. Czy odczuwaliście ten ciężar?

Ja się osobiście takim językiem nie posługiwałem, podobnie jak moi najbliżsi koledzy. Myślę jednak, że z marksizmem sprawa jest dużo bardziej skomplikowana, bo językiem opresji i zbrodni tak naprawdę był marksizm sowiecki.

Ale jak robiono u nas jakieś porządki, to się je uzasadniało językiem marksistowskim, a nie jakimś innym. Pisało się wtedy o obcości klasowej, nienadążaniu, dialektyce przeciwieństw, obiektywnych prawach historii... Czy ktoś wtedy – prócz aparaczyków – rozróżniał, który to jest marksizm?

W moim pokoleniu wszyscy mieli idiosynkrazję na tle marksizmu stalinowskiego, który był okropieństwem, z jego wulgarnym socjologizmem i tak dalej. To wszystko było głęboko niemądre. Ale są przecież polscy uczeni, którzy mają w swoim dorobku wybitne książki napisane przy użyciu metodologii marksistowskiej. Mnie ona nigdy nie była bliska, ale w humanistyce XX-wiecznej odegrała jednak swoją rolę. Jeśli więc w książce, która przedstawia teorię literatury XX wieku, nie ma rozdziału o marksizmie, to ja to uważam za błąd, dlatego że w jego obrębie pojawiły się rzeczy i ciekawe, i wybitne. No bo byli przecież György Lukács, Lucien Goldmann i inni. Zresztą w tej metodologii pewne rzeczy były racjonalne.

Czyli nie uważasz, że to był język, który stygmatyzuje, więc lepiej się nim w ogóle nie posługiwać? Skoro służył do zniewalania społeczeństw, to jak go uzasadnić jako narzędzie badawcze? Jak to dziś traktować, jak to oddzielić?

Nie wiem, bo nie uważam się za specjalistę od marksizmu, nigdy mnie nie interesował. Ale pamiętam, że w latach sześćdziesiątych istniało nabrzmiałe ideologicznie zróżnicowanie na odwołania do poglądów młodego i starego Marksa, w którym chodziło o kategorię alienacji. Jestem słaby w tej dziedzinie, więc nie wiem, czy to on sam ją wymyślił, czy nie, ale na pewno nią operował. Alienacja oznacza, jak wiadomo, poczucie obcości, wyobcowanie i tak dalej, więc nie można powiedzieć, że to wszystko musi iść na śmietnik.

Ale kategorię alienacji, przypomnij sobie, w marcu 1968 roku używano do uzasadniania wyrzucania Żydów z Polski. Prawda?

Nie, to było inaczej. Samą ideę alienacji uznano za wymysł żydowski, co znaczy, że Żydzi mówią o wyalienowaniu, dlatego że „nie są z tej ziemi”. Nie są z nią zintegrowani ani z ludem, więc czują alienację. Natomiast „prawdziwych” Polaków i komunistów ona nie dotyczy. To była nazistowska ideologia spod znaku Blut und Boden.

No to mówimy o tym samym: komuniści mówili językiem totalitaryzmu faszystowskiego, ale łączyli go z językiem marksistowskim. Żle to rozumiem?

Kategoria alienacji, tak jak ją w latach sześćdziesiątych ujmowano, co robili nie tylko tacy filozofowie, zwani wówczas rewizjonistami, jak Bronisław Baczko i Leszek Kołakowski, lecz także oficjalny wówczas filozof partyjny Adam Schaff, była formą krytyki komunizmu. Nawiązania do młodego Marksa znaczyły, że mimo wszystko ustrój zwany socjalistycznym w praktyce alienacji nie eliminuje. Więc to było myślenie krytyczne!

Paradoks lat 1956–1968 polegał na tym, że ówczesna opozycja intelektualna była lewicowa i odwoływała się przede wszystkim do myślicieli lewicowych, w tym do młodego Marksa. Ale to się zmieniło już w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, a jeszcze dokładniej mówiąc, w Marcu. Wtedy opozycja typu lewicowego skończyła się definitywnie, bo po inwazji na Czechosłowację i po tym, co się zdarzyło w Polsce, ci, których w oficjalnym języku partyjnym nazywano rewizjonistami, nie tyle nimi być przestali, co w ogóle odeszli od komunizmu, bo zdali sobie sprawę, że nie da się go ulepszyć ani zreformować.

A kiedy czytasz na przykład „Krytykę Polityczną” z jej dyskursem emancypacyjnym, do którego bardzo dobry jest Marks, jako modelowa lektura tego środowiska, to jak ty to traktujesz?

Nie czuję w ogóle, bo się na tym nie znam. Znam kilku redaktorów tego pisma, włącznie z naczelnym ideologiem środowiska, czyli Sławomirem Sierakowskim, ale nie wypowiadam się na ten temat, bo nie jestem w tej kwestii kompetentny.

Michał, oddałeś całe swoje życie literaturze, a przede wszystkim jej badaniu. Z punktu widzenia zwykłego człowieka to jest chyba coś szalenie dziwnego, że ktoś staje się pracobolikiem i nic innego przez całe życie nie robi, tylko oddaje się rozmyślaniom o dziełach literackich. Co to za szaleństwo lub narkotyk?

Muszę zaprotestować: nigdy w życiu nie byłem pracobolikiem! Miałem czas na pracę i inne sprawy.

Czyli bywałeś w kawiarniach, jeździłaś na wyprawy, chodziłeś na wyścigi konne? Nie sądzę. Gdy jechałeś za granicę, na pewno siedziałas w archiwach.

Nigdy nie siedziałem, bo do mojej pracy archiwa były niepotrzebne. Ja się nie uważam za pracoholika. Chodziłem do kawiarni, co roku jeździłem na urlop, zawsze lubiłem chodzić do kina, a jeszcze bardziej na koncerty. Po prostu umiałem sobie zorganizować pracę, co zajmowało mi kilka godzin dziennie, więc to nie był żaden pracoholizm. Jeśli się jest zatrudnionym w takiej instytucji jak IBL, gdzie obowiązuje system dyżurów i poza nimi nie ma się obowiązków typu dydaktycznego, to dojrzałość człowieka polega na tym, że on sam sobie musi umieć zorganizować czas pracy.

Niedawno rozmawiałem z dużo młodszym kolegą, świeżo po doktoracie, który mi powiedział, że zmierza do tego, żeby nauczyć się organizować swój czas. Skoro bowiem nie stoi nad tobą naczelnik, który ci mówi, że pracujesz od ósmej do szesnastej, a w tym czasie musisz zrobić to i tamto, to musisz sam sobie wyznaczyć, co w którym momencie robisz. Kiedy więc przed laty zorientowałem się, jak się pracuje w takiej instytucji jak Instytut Badań Literackich, gdzie codzienne przychodzenie do pracy byłoby czymś w rodzaju strajku włoskiego, a stropy Pałacu Staszica niewątpliwie by się pewnym momencie zawaliły, bo nasze pokoje są małe i jest ich mało, a nas bardzo dużo. No, ale teraz mamy trochę więcej pokoi...

Żaden pracoholik nie uważa się za pracoholika, tak jak wariat nie wie, że jest wariatem. Dla statystycznego człowieka uczony naszej profesji to ktoś, kto nic nie robi. Mój ojciec na przykład nie mógł znieść, że siedzę w domu i czytam książki albo coś tam sobie piszę. Z miejsca mnie pytał, czy ja naprawdę nie mam nic do zrobienia i kiedy pójdę do pracy. Kazimierz Kuc w swojej ostatniej książce pt. „Piąta strona świata” też pisał, że w analogicznych sytuacjach musiał oszukiwać swojego ojca. No bo jak wytłumaczyć zwykłemu zjadaczowi chleba, że ten jajogłowy w ten sposób pracuje...

Moi rodzice też nie za bardzo wiedzieli, co ja konkretnie robię, ale ponieważ szanowali ten typ pracy, nie miałem z nimi żadnych problemów. Ponieważ dość długo nie miałem własnego lokum, więc mieszkalem z nimi, a oni rozumieli, że pracuję w domu i coś tam sobie piszę oraz myślę.

A czy zwykły człowiek jest w stanie pojąć, że można złożyć całe swoje życie na ołtarzu badania jakichś struktur literackich, których on nawet nie dostrzega?

Przychodzi mi do głowy zawód, który polega na tym, że ktoś stoi w laboratorium i miesza odczynniki, z których powstanie coś, co będzie do czegoś konkretnego służyło...

Albo do niczego...

No nie, dzięki pracy takich badaczy jak my powstaną na przykład podręczniki szkolne i tak dalej. Ja oczywiście wiem, że to nie jest twoje myślenie, tylko *vox populi*, ale jaka część tak

naprawdę myśli? Na przykład ludzie, którzy interesują się historią, wiedzą, że ktoś im ją musi opowiedzieć, a wcześniej dotrzeć do źródeł i świadectw. Inni interesują się poprawnością języka i chcą wiedzieć, czy ktoś nad nią rzeczywiście czuwa. To nie jest tak, że wszyscy uważają uczonych za nierobów. Przecież ludzie wiedzą, że musi istnieć zawód nauczyciela, więc ktoś tych nauczycieli musi przygotować do zawodu. Nie wiem, jak jest w tej chwili, ale przez wiele lat w hierarchii zawodów w Polsce zawód profesora uniwersytetu stał najwyżej, prawda? To o czymś świadczy, bo ci profesorowie to nie są tylko ekonomiści, którzy uczą, jak prowadzić działalność biznesową, tylko reprezentanci różnych dyscyplin.

Z tego, co mi wiadomo, ten prestiż spada na łeb, na szyję, co niekoniecznie musi wynikać z braku szacunku dla zawodu. Czasem wynika z niewiedzy, bo czym tak naprawdę zajmuje się profesor humanistyki, nie zawsze jest jasne. Na pewno na samym dole tej listy znajdują się u nas politycy. Nie wiem, czy tak jest wszędzie, czy tylko w naszym kraju, gdzie wszystko jest trochę pokręcone.

No może tak, ale muszę powiedzieć, że ty i ja doskonale wiemy, że profesorami są bardzo różni ludzie i sporządzenie listy profesorów głupców nie sprawiłoby nam wielkiego kłopotu, prawda?

Pewien wybitny psycholog oświadczył jakiś czas temu, że wśród profesorów uniwersytetu jest taki sam rozkład inteligencji jak wśród pracowników fizycznych. Czyli że wśród profesorów jest tak samo dużo idiotów jak wśród hydraulików.

(*śmieje się*) Trudno mi się wypowiadać na temat całej populacji hydraulików, dlatego że znam tylko tych, którzy pracują w administracji osiedla Służew nad Dolinką, gdzie mieszkam. To grupa sympatycznych i świetnie znających swój zawód osób, więc nie wiem, jak wygląda pełna statystyka. Natomiast że wśród profesorów są ludzie niemądry, przypadkowi, czasem karierowicze i obsesjonaci, to dla mnie nie ulega wątpliwości. Kiedyś usłyszałem o pewnym profesorze jednego z uniwersytetów w Polsce, że jest on dowodem na to, że właściwie każdy, jeśli tylko bardzo chce, może zostać profesorem uniwersytetu czy akademii nauk.

Stereotyp profesora to oczywiście obraz kogoś szalenie niepraktycznego, niedzisiejszego i roztargnionego. Pracowałeś w kuźni najwybitniejszych humanistów w Polsce. Jak się ten stereotyp ma do rzeczywistości?

(*śmieje się*) Nie wiem, ale nie wydaje mi się, żeby cechował ich rys specjalnego roztargnienia.

Czyli to nie są to ludzie, którzy nakręcają zegarek, po czym wrzucają go do kosza na śmieci?

Nie widziałem czegoś takiego. Może ktoś to zrobił, ale teraz na ogół nosimy zegarki na baterie.

(*słychać ostry dźwięk zegara lub sygnaturki*) Co to, koniec?

Koniec.

Chwała Bogu.